

Kronika tygodniowa.

Rok temu, stając przed P. T. Czytelnikami, by się z nimi podzielić święconem jajkiem, wyraził kronikarz nadzieję, że to może przecież już ostatnie wojenne święta, a następne przyjdzie nam obchodzić w innych, pomyślniejszych warunkach.

I jak dziś widzi, bynajmniej się nie pomylił.

Były to w samej rzeczy ostatnie święta Wielkiej-necy w czasie wojny światowej, ale nie przypuszczał nawet, że warunki tak się zmienią, iż dziś stanie przed ogółem swych Przyjaciół, ale z próżnymi rękami i, co najwyżej, tylko z widelcem w ręku gdyż na jajko świętelnie nie mógłby sobie pozwolić ze względu na zupełny brak tego artykułu, dostępnego jedynie dla milionerów paskarzy, nie potrzebujących się liczyć z groszem. Dostarczycielka jaj, niewinna kura, choć latać nie umie, poszła dziś tak w górę, że kosztuje tyle, co przed wojną stróż, mogący nas zaopatrzyć nie tylko w jaja, ale i w płóra, służyąc do ozdoby damskich kapeluszy i pierogów c. k. urzędników. Nawet magistrackie ślepy, gdzie można się było od czasu do czasu zaopatrzyć w jaja (jeśli się miało naturalnie znajomość i protekcję!) nie mają ich dziś zupełnie, całą winę spędzając na kury, z nieznanym bliżej przyczyną jaj znosić nie chcące, no i na paskarzy, którzy je wywołują za granicę, gdzie ma być daleko więcej amatorów jajecznicy, niż u nas.

Wobec tego musi kronikarz złożyć życzenia nie dzieląc się z nikim jajkiem, użyjmy więc wyrażenia na „scho“.

I cóż ma życzyć?... Życzył w ubiegłym roku, by się wojna skończyła, gdyż myśli, że będzie lepiej, tymczasem widzi, że jest zupełnie przeciwnie. Z dnia na dzień staje się coraz gorzej, warunki życiowe stają się coraz nieznośniejsze, a ta pomoc, jaką nam obiecywała zagranica, ogranicza się prawie do zera. Dostało się wprawdzie trochę maki, jeśli się miało szczęście i amerykańskiego szmalca, ale to jeszcze do życia nie wystarczy. Dalsza pomoc pozostaje nadal w sferze niezrealizowanych obietnic.

Można więc i powinno się dziś życzyć sobie wzajemnie tylko tyle, aby nasze warunki życiowe zmieniły się i to gruntownie, to jest na lepsze, byśmy mogli poczuć, że się wojna w samej rzeczy już skończyła, że nastaje ogólny spokój, który ma być dla nas początkiem nowego życia w zupełnie innych, niż dotąd warunkach. Bo, jeżeli tak dalej pójdzie miałyby, jak dotąd, to już chyba nie wytrzymamy dłużej, choć nauczyliśmy się obchodzić bez wszystkiego, co dawniej uważaliśmy za niezbędne do życia i zadawaliśmy się obietnicami.

Ubiegłe święta, czwarte z rzędu w wojennym czasie, były ciężkie, obecne, piąte z rzędu, a pierwsze tak zwane pokojowe, są jeszcze gorzej, zwłaszcza, że przychodzi je spędzić w niepewności, co też jutro przyniesie.

Od listopada począwszy słyszymy i czytamy ciągle, że Polska musi być silnem państwem, mającym dostęp do morza i mającym oddać rolę dawnej Rosyi, śledzącej Niemcem na karku, ale jakoś wszystko tak się składa, że ciężko się tego jakoś doczekać. Co chwila wylatują na wierzch jakieś nowe „racye stanu“, dla ogółu niezbyt jasne i zrozumiałe. Do dnia dzisiejszego właściwie nie wiemy, komu należy na tem, byśmy zajęli należne nam się miejsce wśród państw europejskich, a kto jest temu przeciwny. Jeśliby się bowiem chciało wyciągać jakieś wnioski z tego, co przynoszą nam codziennie pisma polityczne, to musi kładły przyznać, że jest niezmiernie owa tabaka w rogu. Dziś się mówi i pisze tak, jutro zaś inaczej, ba, nawet w jednym i tym samym artykule czyta się na początku coś takiego, co do zakończenia ma się jak pięść do nosa, a konkluzja taka, że możemy się spodziewać, iż będzie tak, o ile naturalnie nie będzie inaczej, ale to się „na razie jeszcze“ nie da powiedzieć.

Wiemy tyle, że mieliśmy u siebie w goście nie-zwykłą moc różnych misyi i misyjek, że członkowie ich zapewniali i zapewniali nas stale o swej życzliwości, ale to bynajmniej nie wyklucza, że stać się z nami może bardzo łatwo to samo, co z owym zajęcem, którego wśród serdecznych przyjaciół rozdali psy na kawałki. A my przyjaciół mamy wielu, ale nie brak nam i psów, dyblących na naszą zagładę.

Na razie mamy bodaj granicę zachodnią i to nie całą, bo bez początku i końca a z r. zmaitemi działaniami w samym środku. Reszta granic jest dopiero w robocie. Zdaje się, że co do wschodnich, to zastosowana będzie teoria samostanowienia narodów o sobie, co się powinno w ten sposób tłumaczyć, że koalicja pozwoli nam ją sobie łaskawie wyznaczyć, o ile są śladzi nie będą nic mieli przeciw temu, a Paryż czego innego nie postanowi.

Niezależną i zjednoczoną Polskę mamy mieć z łaski koalicji, a wiadomo chyba, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Mieliśmy tego już liczne dowody i nowe zbieramy prawie codziennie.

Powiedziano nam swojego czasu, że musimy mieć dostęp do morza, a każdy był pewny, że w takim razie nie gdzieś indziej, tylko w okolicy Gdańska, który niegdys do Polski należał. Tegosamego zdania byli początkowo i członkowie paryskiej konferencji pokojowej, przyznający nam w tym kierunku zupełną rację i słuszne prawa do tego miasta. Ale tymczasem zawał zupełnie inny wiatr tym razem od strony Berlina przez Londyn i koalicja dążyła nagle do przekonania, że ta sprawa nie da się załatwić tak na gorąco, ale trzeba jej pozwolić się odleżeć, a do tego celu nadaje się zupełnie dobrze Liga narodów, której wprowadzić jeszcze niema, ale będzie. I jej to odda się do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawę Gdańska, Prus i pono Śląska cieszyńskiego.

W Niemców wstąpił nowy duch, gdy poczuli, że koalicja idzie im widocznie na rękę, że więc Gdańsk nie jest dla nich stracony, bo jeśli ta sprawa otrzymuje, mówiąc językiem anstryackich biurokratów, takiego „szybera“, równa się do odłożenia jej *ad calendas graecas*. Dali też zaraz tego dowód, nie zgadzając się na konferencję w Spa na lądowanie wojsk Hallera w Gdańsku, by to przypadkiem nie stanowiło na przyszłość dla Polaków precedensu, że Gdańsk może być polski, oświadczyli natomiast zupełną gotowość przewiezienia ich „dla pospiechu“ drogą lądową przez Niemcy, przyznając się równocześnie, że nie rozporządzają w tym celu potrzebną liczbą lokomotyw i wagonów kolejowych. Marszałek Foch zgodził się na to imieniem koalicji, wychodząc z założenia, że wszyscy interesowani wyjdą na tym jak najlepiej, a Haller, wcześniej czy później, znajdzie się przecież w Polsce, do której jakoś w żaden sposób dojechać nie może.

Akcyje niemieckie na politycznej giełdzie paryskiej poszły w ostatnich czasach stanowczo w górę, a to dzięki głównie zupełnie otwartemu poparciu Anglików, krzyżujących wprawdzie na cały głos, że muszą zetrzeć łeb krzyżackiej hydrze, ale postępujących zupełnie inaczej, tak, jak tego ich własny interes wymaga, boć ta wojna była prowadzoną w obronie cywilizacji, a cywilizacya, to dziś interes. Zresztą Niemcy oświadczyli, że przyparci zbyt do muru chwycą się ostatniej deski ratunku, tą jest otwarty zupełnie sojusz z rosyjskimi bolszewikami. A tego widocznie boi się koalicja i dlatego nie chce zbyt przeciągać strany, by przypadkiem nie pękła.

Swoją drogą w załatwieniu sprawy polsko-niemieckiej koalicja postąpiła sobie bardzo politycznie, obliczając dużo jednej i drugiej stronie i pokazując obu z daleka Ligę narodów, która, oby dla nas nie zmieniła się przypadkowo we... figę.

Pesymiści, których coraz więcej między nami ro-wiadają zupełnie otwarcie, że z Gdańskiem powinniśmy się raz na zawsze pożegnać, a to, co nam piszą, że nawet gdańscy Niemcy nie oponują przeciw połączeniu tego miasta z Polską, to są artykuły inspirowane, mające za zadanie uspokoić opinię polską i uwolnić koalicję od ciągłych nagabywań z naszej strony: a co też będzie z nami?

Także i Górny Śląsk nie jest taki pewny, jakby się może zdawało. Niemcy nie myślą wypuścić go ze swych rąk, a i Czesi mają pretensję bodajby choć do kawałka, choć jeszcze nie postanowili ostatecznie, który jest „rdzennie czeski“. W danym wypadku i te sprawy będzie można oddać światłemu rozpatrzeniu Ligi narodów. Bodaj na razie będzie koalicja mieć spokój.

Jednem słowem, można powiedzieć zupełnie otwarcie, że stosunek nasz do Niemców jest, jak dotąd przynajmniej, niewyklarowany i że właściwie niema wcale granicy między nimi a nami, choć swojego czasu ogłoszły ją oficjalnie pisma francuskie, a za niemi powtórzył to samo i kronikarz. Kwestya rozstrzygnięcia różnych niejasnych punktów przez Ligę narodów wyłoniła się dopiero później.

Alle, jeżeli można wie żyć zapewnieniom prasy francuskiej, preliminarja pokojowe z Niemcami mają być ogłoszone jeszcze przed świętami, a przybycie delegatów niemieckich do Wersalu oczekiwane jest już około 15 kwietnia, o ile naturalnie nie nie stanie na przeszkodzie. Ponieważ, ogłaszając warunki pokojowe, będzie koalicja musiała wyznaczyć także i granice przyszłego państwa niemieckiego, być może i my dowiemy się z tego, co nas czeka, co możemy uważać za swoje, a z czem odesłani zostaniemy do Ligi narodów, która ma zastąpić wleżę Babil, lub anstryacki były parlament, taka w niej zapanuje różnorodność, a zapewne i rozmaitość zdań i zapatrywań.

W każdym razie stwierdzić się musi, że zwłaszcza w kwestyi Gdańska i Prus zapanował u nas ogólny pesymizm, znajdujący echo i w naszej prasie, odzywającej się w tej sprawie wprawdzie w różny sposób,

w konsekwencji przecież zgadzającej się na to, że powinno się być przygotowanym na niespodzianki.

„Głos narodu“ nawymyślał Anglikom z powodu sprawy gdańskiej, a to oburzyło „Naprzód“, jak wiadomo nikomu i nigdy nie urągający. Nic też dziwnego, że w jednym z ostatnich numerów, w artykule wstępnym dał „Głosowi“ naukę politycznej uprzejmości i grzeczności, zapewniając, że tego rodzaju wystąpienie może nam w oczach Anglików tylko zaszkodzić, choć przyznaje, że Anglia nigdy nie kierowała się wobec nikogo jakimś sentymentami, a jedyną racją stanu był dla niej zawsze tylko interes. Te zapatrywania podziela także i kronikarz i jest najmocniej przekonany, że synowie Albionu nie życzą sobie bynajmniej nowych konkurentów na Bałtyku w osobie Polaków.

To jedno jest pewnem, że Niemcy pożegnają się raz na zawsze ze swymi koloniami zamorskimi, z których lwia część zatrzyma dla siebie Anglia, resztę zaś rozdzieli między swych sojuszników, do których i my przecież należymy. I, kto wie, czy nie spełnią się marzenia ks. Okonia, którym dał wyraz w Sejmie warszawskim, że, jako rekompesatę za Gdańsk, otrzymamy jakiś ogryzek, dajmy na to, byłego niemieckiego terytorium w Afryce południowej. Trudno nam będzie się tam wprawdzie dostać, nie mając dostępu do morza, ale od czegoż żeguga napowietrzna?... Dla naszych pań, które przed wojną tak gorliwie zajmowały się losem opuszczonych dzieci murzyńskich, zapominając o krajowych „białych murzynach“, stworzy się nowe pole do rozwinięcia ich błogosławionej działalności.

Jak będzie, co będzie, to najbliższa przyszłość pokaze i dałby Bóg, aby wszystko wypadło po na jej myśli! Byłoby to dla nas najpiękniejszy podarunek świąteczny. Nasz premier, Paderewski, wyjechał podobno w tym celu do Francji, aby naprawić złe, o ile jeszcze czas jest na to, konferuje też bardzo pilnie z najwybitniejszymi przedstawicielami koalicji.

I z Czechami nie jest także wszystko w porządku. Na punkcie Śląska cieszyńskiego panuje między nimi a nami różnica zdań, a na czyją stronę padnie rozstrzygnięcie koalicji, tego nikt nie wie. Jedni z polityków są zdania, że koalicja zna nasze słuszne prawa do tej dzielnicy, inni twierdzą, że nie będzie miała na tyle siły, aby odmówić racji Czechom, nie brak także i takich, którzy już dziś są pewni, że Śląsk będzie państwem neutralnem, aby nie stała się krzywda ani Polakom, ani Czechom, lub też sprawa Śląska odesłana zostanie... do Ligi narodów, co może być czasem uważane za zupełnie równorzędne z przekazaniem czegoś komisji, co się równa pogrzebanin raz na zawsze. O Śląsku cieszyńskim czyta się przynajmniej i mówi bardzo wiele, o Spiszu natomiast i Orawie jakoś głucho. Tej sprawy nikt nie odyła nawet do Ligi narodów. Ale jej tyle już najrozmaitszych kwestyi przeznaczono do rozpatrzenia, że długo i pilnie będzie musiała urzędować, by się w bieżącym jeszcze stuleciu móż ze wszystkim załatwić.

Na razie zachowują się Czesi wobec nas z prawdziwą sąsiedzką życzliwością, czego dali dowód, ogłaszając rozporządzenie, że poddani polscy, zajęci w Czechach przy robotach rolnych, oraz Polacy z Królestwa, internowani swojego czasu przez Anstryaków w różnych miastach czeskich, mają być natychmiast odtawieni do oślawionych obozów koncentracyjnych w Choceniu i Pardubicach, skąd odesłani będą do ojczyzny.

Jakże inaczej postępują sobie nasze władze wobec Czechów, których tyle jeszcze w Polsce pozostało. Widocznie jest im tu dobrze, skoro się nie myślą stąd ruszyć, a, jeśli członków misyi zagranicznych molestują od czasu do czasu memoryalami, jak po barbarzyńsku obchodzą się z nimi Polacy, to tylko dlatego, aby dać światu z jak życia o sobie.

I dalszy więc ciąg granicy państwa polskiego, o ile stykamy się tutaj z Czechami, właściwie nie istnieje, wyznaczy ją zaś, choć niewiadomo kiedy, koalicja, ewentualnie jej ekspozytura, Liga narodów.

Czy do owej Ligi nie odeśle nas też z ostatecznem załatwieniem kwestyi zachodnio-ukraińskiej tego także nikt przewidzieć nie może. Pan dyrektor Petlura dał wprawdzie nura ze Stanisławowa do Płoskirowa, pan komendant Pawlenko, poddając się zarządzeniom koalicji oświadczył podobno gotowość zawarcia rozejmu z Polakami, ale jakoś go w żaden sposób nie można było podpisać. Raz brakło pióra i atramentu, raz znów dobrej woli, potem jeszcze czego innego, a Ukraińcy tymczasem ostrzeliwali i ostrzeliwują ciągle Lwów, nie przepuszczając nawet szpitalowi w Kulparkowie.

Czy i z załatwieniem kwestyi polsko-ukraińskiej nie odeśle nas koalicja do Ligi narodów?... Bardzo być może, że się tak stanie, ale trzeba pamiętać, że Rusin jest z natury uparty i skoro nie usłuchał koalicji, nie usłucha i Ligi, zwłaszcza mając piękny przykład na swym przyjacielu, Czechu, że można sobie nie nie robić z wszelkich rozkazów i poleceń, boć każdy naród ma prawo samostanowienia o swym losie, choćby tylko w myśl zasady, głoszonej przez koalicję.